

Ogrodnicy

Pani Róża uwielbiała sprzątać. Zaraz po śniadaniu łąpała za miotłę i rach, ciach, omiatała parter, potem ganek razem ze skrzypiącymi schodami, na koniec piętro. Odwrotnie niż zalecała teściowa. Zdawała się tańczyć, ba, unosić nad ziemią i często śmiała się, wirując z miotłą po domu. Rytuał ten powtarzał się codziennie: najpierw śniadanie, po śniadaniu miotła, dalej mogło być różnie. Ileż to kobieta, gospodyni, ma zajęć – walczy z kurzem, szoruje podłogi, pierze w balii albo nad strumieniem, rozwiesza na linkach za domem co wyprane, gotuje, czasem wybiera się ze starszymi dziećmi lub sąsiadką do nieodległego miasta po zakupy. Wieczorami szyje, ceruje. „Obowiązki kobiety spisano w niebie w dwunastu księgach, po jednej na każdy miesiąc roku” – mawiała matka do Róży, a potem na ucho, żeby nie usłyszał ojciec, dodawała – „Mężczyźni to lenie”. Wszystkie przypisane kobiecie czynności pani Róża wykonywała sumiennie we właściwym czasie, a także z uśmiechem. Miała radosne usposobienie. Doczekała się z Tomaszem Freitagiem piątki dzieci, rodziły się rok po roku, zawsze na przełomie stycznia i lutego: Szymon, Dorota, Melchior, Regina i najmłodszy, pięcioletni Ernest – oczko w głowie mamusi. Prócz dzieci, męża, miotły i domu posiadała Róża ogród. Był za domem, bardzo blisko. Wydłużony sięgał do skarpy, za którą ukrywała się głęboka dolina. Jej środkiem płynął wartko strumień. Z tej doliny trafiał do następnej i chlup – wpadał do Siedleckiego potoku. Siedlecki potok, dawniej rzeczka, sunął przez całe Nowe Ogrody wprost w objęcia kanału Raduni, tej samej, której wody napędzały wszystkie koła młyńskie w Gdańsku. Domek Róży, niewielki, jednopiętrowy, stał na wysoczyźnie, zbudował go dziadek Tomasza, obok miało swoje zabudowania kilku gospodarzy, najbliżej Jordan z żoną, dalej Tomasz Bachlard, potem Gaston, mąż Felicyty, i Beniamin Fuchs z synami, w dolinie mieszkał Gwidon Donnerstag

i Michael Müller. Blisko stąd było do miasta, a jednocześnie wystarczająco daleko, aby ukryć się w zieloności wzgórz, cudownej ciszy, aby cieszyć się świeżym powietrzem, które na wiosnę przenikała woń bzu i kwitnących drzew, i nie doświadczać rynsztoków, ulicznych złodziei, zaduchu latem i wilgoci zimą. Miasto leżało bowiem na nizinie przymorskiej, podmokłej, otoczone wysokimi wałami, które ograniczały dostęp ożywczym wiatrów od lądu i morza, co było szczególnie dokuczliwe podczas upalnych dni lipcowych i sierpniowych.

– To niedobre miejsce – przekonywała przed laty Różę, wtedy jeszcze dziewczynkę, matka. Stały wtedy przed wieżą Więzienną na Targu Węglowym. Było zimno i na środku placu wznoszono z belek wysokie rusztowanie – stos. Mała Róża myślała, że zziębnięci mieszkańcy budują ognisko, aby ogrzać powietrze i przywołać spóźniającą się wiosnę, było inaczej, ale tego domyśliła się znacznie później. Róża nigdy nie dowiedziała się, co bardziej miała na myśli matka, mówiąc „to niedobre miejsce”: klimat wyjątkowo paskudny czy też ten szczególny rodzaj aktywności Gdańszczan.

Z dzieci Freitagów żadne nie umarło w niemowlęctwie. Żadne nie doświadczyło cięższej choroby, chowały się zdrowo, cała piątka. Tryskały radością i jak mama kochały ogród, a w ogrodzie najbardziej kochały radosne tulipany.

Kiedy mijała zima i nadchodziły dni późnomarcowe, potem kwietniowe, wreszcie maj, kiedy słońce ogromniało na niebie, wtedy z cebulek troskliwie przechowywanych w domu przez mroźny czas, a teraz wkopanych w grządkę, wyrastał kwiat. Z zielonego pąka otwierał się szeroko. Freitagowie niecierpliwie oczekiwali na ten moment.

Tomasz, którego nazywano Cieśla, zajmował się meblarstwem. Jego, bardziej niż tulipany, interesowały dęby i buki. Znał się na drzewach, wiedział, które najlepsze jest na krzesło, a które na komodę, jakie wybrać na łóżko, a

jakie na trumnę. Powietrze w jego warsztacie przesiąknięte było żywicą. Soki zbierały w świeżo ściętych drzewach. Gdy rano otwierał drzwi, w środku było duszno. Tomasz dotykał żywicy i smakował, jak Róża zupę. Drzewo leżakowało potem kilka lat, zanim Tomasz dotknął go piłą, pogłaskał heblem. Cieśla lubił wszystkie drzewa, ale najbardziej brzozy. Wybierał się na spacer do brzeziny, nad staw, zaraz po niedzielnym obiedzie. Stawał przed brzezina i patrzył, jak wyrasta z mchów i traw, i słuchał, jak szeleści tysiącami listków, zdawałoby się blaszanych. One mówią – przekonywał dzieci – Słyszycie? – uciszał rozbrykaną gromadkę.

Freitagowie nie utrzymywali z nikim bliższych kontaktów, byli szczęśliwi w swoim gronie, nawet dzieci, z natury wszędobylskie, nie uczestniczyły chętnie w zbiorowych zabawach z dziećmi sąsiadów, szczególnie licznych Fuchsów i Bachlardów. Wolały razem z mamą zajmować się ogrodem albo w warsztacie ojca popatrzeć na pracę jego dobrych rąk.

Jednym z niewielu odwiedzających ich dom był miejski medyk, Franz Hipponi. Przychodził z miasta raz na dwa, trzy tygodnie, opiekował się starym Donnerstagem, a przy okazji zaglądał do pani Róży. Pytał – Jak tam zdrowie? – ale nie z nadzieją, że oto przyda się jego umiejętność, a raczej by pocieszyć się spostrzeżeniem, iż na świecie istnieją jeszcze ludzie zdrowi, którzy medyka nie potrzebują. Wiele naoglądał się w swoim życiu pan Franz Hipponi ludzkiego nieszczęścia i czasami ogarniało go zwątpienie w sens wszystkiego. Pan Franz Hipponi nienawidził chorób, mówił o tym bardzo często, krzywił się z odrazą wspominając medyczne studia. Aż dziw, że został lekarzem, w dodatku dobrym – tak powszechnie uważano.

Uwielbiała go biedota, bo zamiast monety przyjął jako zapłatę jajka, kureę albo nic, to znaczy modlitwę, bo zwykł mówić – „Pomódlcie się za mnie” albo „Zapłacą mi na tamtym świecie”. Był jednym z niewielu lekarzy, którzy pozostali

w mieście podczas ostatniej zarazy, aby opiekować się zarażonymi. Nie umarł, choć stracił wiarę w Boga.

Do pani Róży pan Franz Hipponi wpadał na herbatkę ziołową i ciasteczka, wypijali ją, jeżeli pogoda sprzyjała, na werandzie, spoglądając na ogród. Rozmawiali o kwiatach, o planetach, o zwierzętach i ...medycynie. Pan Franz zwykł przynosić do poczytania pani Freitagowej książki ze swojej biblioteczki. Rozumieli się doskonale, interesowały ich te same dziedziny wiedzy – choćby ziołolecznictwo. Medyk – rzecz to zadziwiająca, prawie tajemnicza – czuł się w towarzystwie pani Róży, jakby rozmawiał z kolegą po fachu, w dodatku nie wstydził się poruszać tematów, które normalnie, zwłaszcza w kontakcie z kobietą, uważałby za mało stosowne, jak choćby: budowa układu rozrodczego i wydalniczego, wrzody jamy ustnej, sposoby leczenia choroby św. Wita.

Cudowne to były dla niego kwadransy i godziny. Raz czy dwa zamarudził i został na obiedzie, ale obecność męża pani Róży powodowała, że przy stole nie rozmawiało się już tak swobodnie. Pasożyty ludzi i zwierząt, skuteczne metody tamowania krwi musiały poczekać do następnego spotkania.

Dni w domu Freitagów upływały radośnie. Wiosna wyczarowywała je z czasu, powietrza, ziemi, zdarzeń i wrzucała w świat ludzi niczym matka, co przyglądając się zabawie dzieci, podaje im słodycze, owoc, uśmiech albo miłe słowo.

Wiosna – pora roku, osoba, duch natury. Wiosna – biorąca początek z pohukiwania synogarlic, kwitnienia tulipanów i miłości. Rodzaj słodkiego otumanienia, choroby z rejestru medyka. Zbiorowe szaleństwo, któremu ulegają wszyscy nie zgorzkniali. Początek świata, wszechświata, pierwszy oddech Boga. O wiosnie pani Róża mogła rozmyślać bez przerwy. Spoglądała na swoje dzieci, ogród pełen świeżej zieleni, na niebo i czuła się nasyconą, gotowa przymknąć oczy na słońku i tkwić tak w pół jawie, pół śnie, bezgranicznie

zadowolona z tego, co ją spotkało. Kiedy Ernest zachorował, wyglądało to zrazu niegroźnie, cały dzień majowy bawił się jak inne dzieci, miał co prawda rumieńce, ale Róża myślała, że to od biegania, cieszyła się nawet z tych rumieńców, bo chłopczyk, raczej blady, po zimie wydawał się jeszcze bledszy niż zazwyczaj. Przy kolacji kilka razy zakasłał, nic wielkiego. Położył się razem z innymi, do tej pory nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa. Obudził się po godzinie, był rozpalony. Mamrotał i patrzył wokół zamglonymi oczami. Kiedy Róża weszła do pokoju, pozostałe dzieci też nie spały. Optukiwane w zimnej wodzie prześcieradła schły na rozgorączkowanym ciele chłopca niepokojąco szybko, zioła nie skutkowały. Wreszcie – mogła minąć godzina – Ernest zaczął tracić przytomność. Róża cuciała go, a on po kilku chwilach znów i znów odlatywał w nieznane. Za każdym razem wydawało się, że to już koniec, że umiera. Tomasz zapalił w milczeniu świece u wezgłowia dziecięcego łóżeczka i zarządził modlitwy, dzieci otoczyły Ernesta ciasnym wiankiem.

Różę ogarnęła rozpacz. Zbiegła po schodach na dół, wypadła z płaczem do ogrodu, im dalej od domu, tym głośniejsze płakała, jakby chciała zagłuszyć dochodzące z piętra modlitwy. –Oto – pomyślała – nie ma radości bez końca.

Pełna była najczarniejszych przeczuc, wiedziała, że powinna coś zrobić, lecz nie wiedziała co. W głowie miała zamęt, w ustach suchość, ręce jej drżały tak strasznie, że nie mogła na nie patrzeć. Jej umiejętności, wiedza, którą chwalił medyk miejski – okazały się niewystarczające. Jej miłość nie była w stanie pomóc Ernestowi. Pozostawał jeszcze doktor Franz Hipponi – kompan od ziołowej herbaty i kruchych ciasteczek, a na jego straży noc, sen, droga, miasto z murami, fosami, bramami i wartą, która zamyka bramy o zmroku i otwiera je dopiero o świcie.

– Nie ma czasu, nie ma – coś targnęło nią w środku, jakby serce. Poczła złość do siebie, że taka jest głupia, że wyszła z domu, że płakała pośród nocy, kiedy

trzeba działać, śpieszyć się, bo każda chwila jest droga. Szybko, szybko – poganiała sama siebie. Może jeszcze nie jest za późno. Była zdecydowana na wszystko.

Wpadła do dziecięcego pokoiku na piętrze jak burza, płomienie świec pochyliły się niebezpiecznie, jakby zamierzały zeskoczyć z czarnych główek knotów nad jasne głowy Freitagów, pochylonych w modlitwie ojca i dzieci. Duch Święty rzeczywiście zdawał się unosić w powietrzu ciepłym, prawie dusznym.

Ernest leżał nieruchomo, zmieniano mu kompresy na czole, a on czekał, aż ucieknie z niego życie, a ręka Śmierci odnajdzie go w ogrodzie i zerwie jak kwiat. Świeżo rozkwitły, pełen wigoru miał, stojąc w wazonie, ozdobić jej pokój swoim odejściem. Chwila, jeszcze chwila, a będzie nieżywy. Okrutne widowisko. Czy nic go nie zatrzyma? Wiosna, a cóż znaczy wiosna? – Krótkie życie! – przestraszyła się Róża. Rzuciła się na Ernesta z płaczem. Dziecko otworzyło oczy, wyrwane ze snów dalekich spojrzało na matkę, lecz zdawało się jej nie dostrzegać. Róża pochwyciła go mocno w ramiona, jak złodziej skarb, i rzuciła się do ucieczki.

– Co robisz? – krzyknął Tomasz.

– Trzeba z nim do medyka, byle dalej stąd, tu śmierć – Róża złapała koc i otuliła małego.

Tomasz usiłował ją uspokoić, położył jej dłoń na ramieniu, odtrąciła ją.

– Jest za późno. Nie dotrzemy do niego – mówił – bramy są zamknięte i nie wiadomo czy... Jest za późno. Ernest umiera.

– Zejdź mi z drogi – kobieta groźnie spojrzała w oczy Cieśli, co robił także trumny. Spróbował stanąć jej na drodze, lecz ten wzrok odepchnął go pod ścianę, wcisnął w kąt.

– Potrafisz się tylko modlić – jęknęła z wyrzutem.

na niej bokiem. Poprawiła dziecko na kolanach, a miotła wisiała nad skarpą niczym huśtawka zawieszona na gałęzi wysokiego, a niewidocznego drzewa. Tomasz patrzył na to dziwne zjawisko przerażony. Róża odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy, jej spojrzenie w niczym nie przypominało spojrzenia Róży, którą znał, było mocne. Czuł, że zamienia się pod nim w kamień, więc prędko zamknął powieki. Fala wiatru uderzyła go w twarz tak silnie, że prawie się przewrócił. Miał wrażenie, że coś błysnęło. Kiedy otworzył oczy, na skraju skarpy nikogo nie było. Podbiegł i spojrzał w dół. Nagie zbocze, oświetlone blaskiem księżyca, nie skrywało tajemnic. Róża i Ernest zniknęli, odlecieli... na miotle.

Tomasz chciał zawołać za nimi, lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu. W ciemnym ogrodzie pozostał sam. Cały jego świat w jednej chwili przewrócił się do góry nogami i rozsypał na drobne. Poczul się jak głupiec i ktoś, kto nagle stracił bardzo wiele.

Waldemar Borzestowski